

# Nieobecni są najbliżej



Ks. Jan Twardowski, fot. znak.com.pl.

## Barbara Gruszka-Zych

**Do dziś przechowuję jeden z najcenniejszych dla mnie listów. Napisał go ks. Jan Twardowski po przeczytaniu moich tekstów poetyckich.**

*Te wiersze są proste, pisane bez zbędnych udziwnień. Myślę, że łatwo mogą trafić do czytelnika. Byłam szczęśliwa, że taką opinię wydał mi ten, który pisał najprościej jak tylko można. I dzięki temu trafił do milionów czytelników. Bez wątpliwości można powiedzieć, że przez ostatnie 20 lat był najczęściej wydawanym, czytany i cytowanym polskim poetą. Ale kiedy odwiedzałam go z przyjaciółmi w kościele Sióstr Wizytek przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, nie wiem, czy z kokieteryją, czy prawdziwym niedowierzaniem – pytał tym swoim cichym głosem przechylając głowę:*

*I tak naprawdę mnie czytacie? Inni też? Naprawdę wam się to podoba? A przecież te moje wiersze takie tam...*

Przez lata nie był drukowany. Na jego tomikach nie pojawiała się też informacja, że jest księdzem. Nie tylko ze względu na ograniczenia minionego ustroju. Taka była też wola, żeby - jak nam mówił - nie narzucać czytelnikowi odbioru. Przecież czytali go również niewierzący. Bo w swoich wierszach nie pouczał, nie prawił morałów, nie straszył piekłem, a nawet się usprawiedliwiał: *nie przyszedłem pana nawracać*. - Wiara moja, jak i innych ludzi, podobnie jak niewiara, wydaje mi się tajemnicą - powiedział w jednym z wywiadów.

Urodził się w Dniu Dziecka, 1 czerwca w 1915 r. w Warszawie. Może dlatego tyle potem pisał o dzieciach. *Być na piątkę obiecuje, a z piątego piętra pluje* - uczyli się na pamięć moi jeszcze mali synowie fragmentów z jego „Patyków i patyczków” (dziś mają po kilka tych książek z cennymi dedykacjami Autora, pisanymi drobnym pismem: „Kochanemu Tymkowi”, „Drogiemu Błażejkwowi”).

Dla twórcy „Znaków ufności” ważne były lata gimnazjum, szczególnie zajęcia z nauczycielem biologii - Władysławem Kociejowskim, który kazał mu prowadzić zielnik i uczył nazw roślin. Potem w swojej poezji ze znanostwem przywoływał „po imieniu” jesion, czeremchę, wiąz. Pasjonowała go też literatura. Jeszcze przed wojną, pod wpływem Józefa Czechowicza, wydał pierwszy tomik „Powrót Andersena”. Rozpoczął studia na polonistyce, był uczniem słynnego prof. Wacława Borowego. Podczas okupacji wstąpił do AK, brał udział w Powstaniu Warszawskim. W Radomiu, po spotkaniu z rodzicami postanowił, że pójdzie do Seminarium. Polonistykę skończył w 1947 r., święcenia przyjął w rok później. Był też związany z Katowicami. Tu przez długie lata mieszkała przecież jego siostra. Tutaj w „Odrze” drukował swoje wiersze pod pseudonimem Antoni Derkacz:

*O najdroższa! Pod tej fary wieżą,  
przy jabłoni siedem kroków w bok,  
w szklach rogowych księża nie dostrzegą  
jak ust blisko włosów twoich lok  
(„O tej łzie co na końcu spadła”).*

Jego pierwszą parafią był Żbików, gdzie pracował w szkole specjalnej. W 1950 r. z Pliszowa pisał do poety Jana Ożoga:

*Myszę, że nigdy nie należy czynić z poezji najważniejszego problemu swojego życia - trzeba umieć postawić ją w odpowiedniej proporcji do innych spraw.*

I to przesłanie starał się realizować zarówno w latach 60., kiedy nie wydano żadnego tomu jego wierszy, jak i w latach 90., kiedy ten sam jego wiersz publikowano jednocześnie w czterech różnych wyborach poezji, i gdy tłumaczono go na różne języki.

Zawsze zwracał uwagę przede wszystkim na innych. Kiedy razem z przyjaciółmi z warszawskiej polonistyki na początku lat 80. chodziliśmy go odwiedzać w zakrystii kościoła ss. Wizytek, gdzie był rektorem, zawsze znajdował dla nas czas. Przychodził nieodmiennie w sutannie, wysoki, w rogowych okularach jak z wiersza, ze skromną, ortalionową siatką w dłoni. Przynosił w niej swoje poezje, a raz zapiski o przyjaciółce, przedwcześnie zmarłej Annie Kamieńskiej (powtarzał, że była świetną poetką religijną, zachęcał do jej czytania, mówił, że musi poświęcić jej wspomnienie). To właśnie w odpowiedzi na jej wiersz napisał: *Śpieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą*. Uczyliśmy się tego utworu na pamięć i omawialiśmy na lekcjach w ramach praktyk studenckich jeszcze zanim włączono go do podręczników szkolnych. (Na początku lat 90. te słowa znalazły się - jako swoiste memento - w wielu nekrologach). Zapraszał, żebyśmy usiedli, pytał skąd jesteśmy, jak długo jechaliśmy, czy jesteśmy zmęczeni i głodni. Interesował się każdym z osobna, zapamiętywał nasze imiona.

Kiedy po latach odwiedziłam Poetę ze starszym synem, Tymek był zdziwiony, że dobiegający 90. Ksiądz pamięta dobrze mnie, moje koleżanki i kolegów: Zuzię, Jolę, Andrzeja. (Sam uczył się cytatów z jego wierszy: *Bo pozwalają patrzeć na świat z optymizmem* - mówił.) Rozmawialiśmy wtedy o nienawiści, przebaczeniu i miłości. Ksiądz powiedział, że codziennie rano podczas modlitwy powinniśmy oczyszczać się z uprzedzeń do ludzi. *Moja nienawiść żywi drugiego, ułatwia mu nienawiść* - ostrzegał.

*Ocalić nas może miłość. Ale nie tylko samo uczucie zakochania, ale troska o*

*drugiego, opieka, wyjście poza siebie do kogoś. Ona jest najważniejsza, bez niej nie ma całego życia.*

Zwykle do „jego” konfesjonału ustawiały się kolejki. Niektórzy żartowali, że Ksiądz jeszcze zanim wysłucha, już daje rozgrzeszenie. Tak wierzy w Boże Miłosierdzie i tak docenia wszystkich, którzy przyszli wyznać swoje winy. W wierszu „o kościele” pisał, że to miejsce, gdzie musiał *stale chować się do konfesjonału, któremu stale odrastają uszy*, i gdzie modlił się, *żeby nigdy nie być ważnym*. A przecież musiał wiedzieć, otoczony miłością czytelników, że ta ostatnia modlitwa nigdy nie została wysłuchana.

Dziś wybór Jego wierszy nie przez przypadek otwiera się na słowach: *przecież tylko nieobecni są najbliżej* („o nieobecnych”).

---

## **Florian Śmieja. Wiersze z tomu „Dotykanie świata”.**



Leszek Wyczółkowski, Time, grafika, 30×60.

**W listopadzie 2016 r. ukazał się tom wierszy prof. Floriana Śmieja „Dotykanie świata”. Jest to podróż przez myśli, obserwacje i emocje z całego życia poety, poczynając od utworów z tomu „Czuwanie u drzwi” wydanych w roku 1953 aż po najnowsze. Promocja tomu wierszy Floriana Śmieja miała miejsce w Konsulacie Rzeczypospolitej Polskiej w Toronto, 22 listopada 2016 r.**

## **Florian Śmieja**

### MINIBIOGRAM

W dzień mych urodzin nikt z armat nie strzela  
chodząc ulicą nie budzę sensacji  
na fluktuacje światowego rynku  
nie wpływa wcale stan mojej wątroby.

Jak wielu innych pod uśmiechem skrywam  
nieużywane pokłady czułości  
czekam na właściwy telefon, na list  
wyglądany od dawna, przyjaciela.  
Taki to sporządziłem minibiogram  
gdyby gdzieś miano wydać autentyczny  
informator *Kto jest kim między ludźmi*.

\*\*\*

ZANIM

Zanim ogarnie mnie zobojętnienie  
a każda ma odpowiedź zabrzmiał: po co?  
chciałbym jeszcze podeprzeć kruchą gałąź  
podtrzymać skrzydło zmęczonego ptaka  
dziecku dać uśmiech, spragnionemu wody.  
Nie zbuduję już grodu, dodam kamyk  
zdrowia nie wrócę śmiertelnie choremu  
lecz nie odmówię ciepłego dotyku  
dobrego słowa, ufego spojrzenia  
drobiny światła przed idącą nocą.

\*\*\*

## NIEWAŻNE

Nieważne jest miasto do którego lecimy  
Toronto, Los Angeles, albo Honolulu,  
bo i tak pamięć zaszłego nas nie opuści  
nie przypadnie tęsknota, żal się nie odmieni.  
W sobie przecież niesiemy płomień najważniejszy,  
którego nie wystudzi dystans, ani zmiana,  
żegnania w południe czy rozłąka północą.

\*\*\*

## OREGON

Kiedy drzewo traci walkę o byt  
nie zawsze się załamuje  
często pogruchotane stoi dalej  
odarte z kory, pozbawione korony  
trwa na miejscu uparcie  
korzenie nie puszczaają ziemi  
pień zanim się w proch rozkruszy  
by urzyźnić glebę  
nadal daje schronienie

oparcie ptakom i owadom.

Dlatego las nie umiera.

\*\*\*

## PRZYSTANEK

Kiedy po drodze

przystanę, by się pochylić

nad małą kępką trawy

pytają się spieszni kierowcy

co on tam zgubił?

Pieniądze? Zegarek?

A to oni są stratni.

Ja znajduję moment skupienia

ofertę zieleni

a czasem, gdy się poszczęści

czterolistną koniczynkę.





Leszek Wyczółkowski, Golden Moments,  
grafika.

\*\*\*

## DIOGENES

Szedł mozolnie, wytrwale  
próbował białą laską.

Chodził w kółko, choć padał  
deszcz i bryzgały pojazdy.

Był ociemniały. Liczne  
śledziły go oczy, bo osób  
dokoła było bez liku.

Ale pomocy nie było.

W końcu pojawił się chłopak

wziął go łagodnie pod ramię

i poprowadził z powrotem.

O jak radośnie wywijał

białą laską, meldował,

że można znaleźć człowieka.

\*\*\*

PISARZ EMIGRACYJNY

Miał kiedyś pisarz emigracyjny

komfort dystansu, który izolował

a patrząc z dala nie dostrzegał trywiów

ani nikczemnych ciosów niżej pasa.

Mógł się zajmować szerszą perspektywą

ogólną panoramą, widokami z góry.

Technologia nam zniosła przestrzeń

i na ekranie poznać każdą zmarszczkę

naszych idoli oraz adwersarzy.

Lecz jak w tej ciżbie odróżnić warhoła

od lojalnego obywatela, kto nie na szaniec

lecz na wiece, rozpoznać pospolite  
ruszenie od zadymy? Emisariusze  
wszelkiej prywaty zdolni przez Atlantyk  
wieść swoją bibułę. Za późno  
coś robić na pochwałę grodu,  
sprywatyzowany ma różnych kasztelanów  
którzy się wiecznie wadzą o swoje trybuty.

\*\*\*

## MARNOŚĆ

Jeżeli ludzkie przekonania to piasek,  
który wiatr rozwieje, to co są warte  
konfabulacje otwartego człowieka  
chcącego pojąć zawilności świata  
a mężnie zachować się wobec bytu?  
Czy na darmo trzodzi się kontemplacją  
I w samotności przpędza swój żywot?  
Marność nad marnościami ostrzegało  
Pismo od wieków acz z niewielkim skutkiem.  
Pozostawiając nam wszystkim nadzieję  
mędrzec podpowiada, by z nędzy bytu

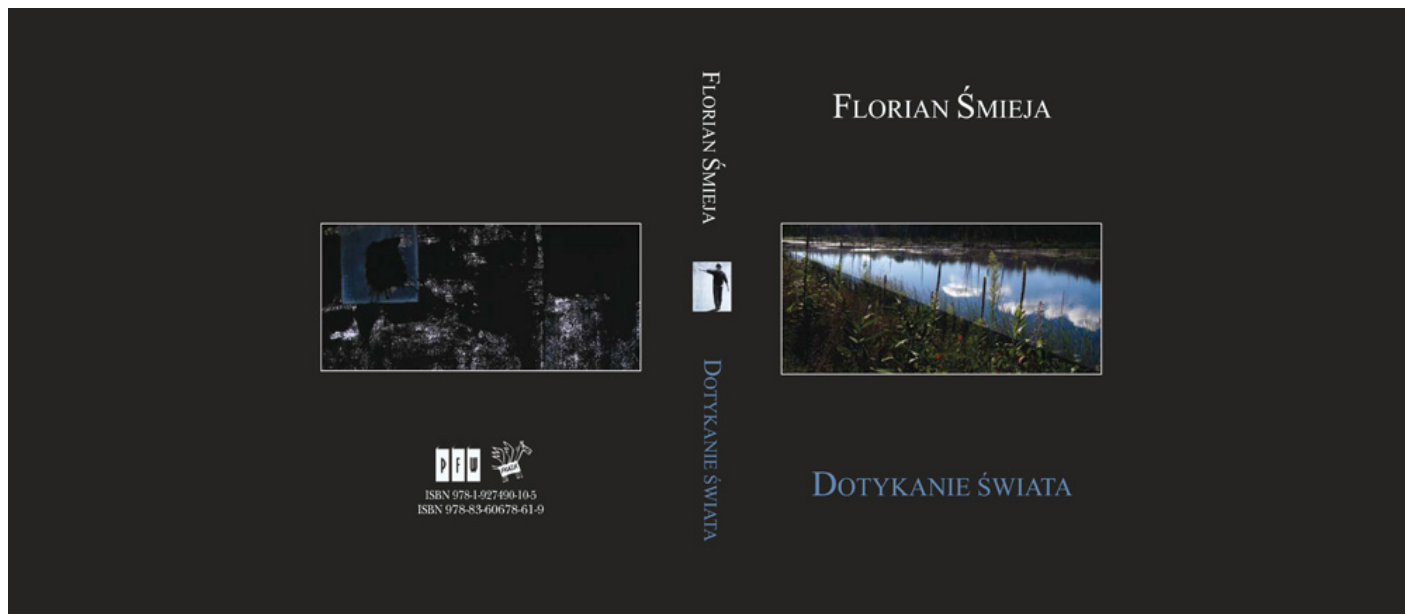
wykrzesać to, co tą nędzą już nie jest.

\*\*\*

## DOTYKANIE ŚWIATA

Dotykanie świata obyło się bez  
mierzenia sił na zamiary. To raczej  
zrządzenie losu, co bosego malca  
ze śląskiej nadgranicznej prowincji wiódł  
w labirynty niespodziewane, potem  
bezpiecznie przez zawieruchy prowadził  
po złudne laury i honory świata,  
o którym synek z Kończyc skrycie marzył.

*Florian Śmieja, Dotykanie świata, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto-  
Rzeszów 2016 r.*



---

# Obłąkane wiersze Rafała Wojaczka

Florian Śmieja



Rafał Wojaczek, fot. Instytut Mikołowski.

We Wrocławiu nieraz chodziłem na sąsiadujący nieomal z Hotelem Asystenta, w którym mieszkałem, cmentarz św. Wawrzyńca, aby w jego ciszy pomedytować nad granitowym głazem mogiły Rafała Wojaczka.

Nie brak wśród poetów postaci tragicznych, fatalnych, ofiar ciemnego losu. Dawniej bywała nim choroba podcinająca młode skrzydła, na którą nie znano lekarstwa. Później zdarzały się wypadki, gdy artyści śmierć sobie zadawali sami, nieraz z premedytacją, dzieląc się swoimi zamiarami z publicznością, orkiestrując w pewnym

sensie swoją śmierć na oczach wielbicieli i współtworząc jeszcze za życia własny mit. Do takich postaci zaliczymy Rafała Wojaczka (1945-71).

Urodził się w Mikołowie pod Katowicami w 1945 roku w rodzinie nauczycieli. Mieszkanie dzięki pietyzmowi lokalnych miłośników literatury, jest dziś centrum kultury, gdzie odbywają się odczyty, wieczory autorskie i wystawy. Szkołę średnią ukończył w Kędzierzynie, zapisał się na filologię polską w Krakowie, ale zrezygnował po jednym semestrze. Zamieszkał we Wrocławiu próbując utrzymać się z pióra. W 1966 roku ożenił się z pielęgniarką, którą poznał w klinice psychiatrycznej. Miał z nią córkę Dagmarę, lecz małżeństwo się wnet rozpadło. Wojacek zmarł tragicznie 11 maja 1971 roku we Wrocławiu.

Piotr Kuncewicz w historii poezji ostatnich dekad dodaje:

*Właściwie samouk, obarczony jakimiś pokrętnościami psychicznymi, bardzo zdolny i przystojny, a na dodatek od początku cieszący się literackim powodzeniem. Chuligan i lump, zdeklarowany alkoholik, awanturnik popadający w konflikty z prawem, pacjent szpitala psychiatrycznego, a równocześnie błyskotliwy talent i osobowość mistyczna, pogrążona w rozpamiętywaniu mroków świata i nieuchronności śmierci.*

Ileż to razy słyszymy ostrzeżenie, by nie łączyć twórczości z życiorysem twórcy, że to są dwie różne sprawy, że dzieło oddziela się od swojego autora. A przecież sam Wojacek napisze:

*...Poetą się jest. Jest się nim żyjąc. Zaś bywa się czasem skrybą, czyli grafomanem. Bywa się nim wtedy, kiedy braknie siły, by dźwigać ciężar swego życia. Wtedy ucieka się do ogródka sztucznym sposobem ogrodzonego i sadi się smętne kwiatki na schludnej grządce...*

Zdaje się też mówić to samo w dystychu: „Nie myślą o Bogu,/tylko szukają sposobu!”

W autobiograficznym poemacie prozą „Sanatorium” Wojacek rozszczepiał swojego protagonistę, którym był sam, na dwie osoby: przedstawianego in actu Sobieckiego (pamiętamy, że takim nazwiskiem, nazwiskiem panięńskim matki, Wojacek się

nierz podpisywał) oraz Piotra, jego krytyczne alter ego (imię trzeźwego inspicjenta nie bez kozery jest tutaj imieniem starszego brata). Pierwsza z nich to Rafał Wojaczek, który działał, druga - rzeczowy obserwator jego postępowania.

Edward, ojciec Rafała, słowami syna, „miał wiele z jego powodu zmartwień”. Pochodzący z chłopskiej rodziny ojciec ciężką harówką zdobył wykształcenie, był później powstańcem śląskim, kacetowcem i nauczycielem licealnym. Z niepokojem obserwował poczynania syna, z troską tym głębszą, że sam w młodości miał okres trudny, z którego się jednak wydobył. Wychodził z pokoju, kiedy Rafał umyślnie przechwalał się swoim trybem życia. Ale materialnie mu pomagał i jeździł do niego, choć często ich spotkania kończyły się sprzeczką.

Rafał (trzeźwo myślący Piotr w tekście) zapisze: „A przecież obaj dążyli do spotkań i przez pewien czas wspólnej obecności umieli cieszyć się nią”. Potem jednak wybuchały zrozumiałe scysje. Ojciec wyjeżdżał rozdrażniony do swojej szkoły, syn, słowami Wojaczka, „do swej literatury, do swoich obłąkanych wierszy...” I przyznawał, że każdemu szło o obowiązek, że obaj mieli rację. Syn miał rosnące poczucie winy. Ojciec natomiast często czytał utwory syna szukając w nich dowodu na patologię, ale był również doskonałym krytykiem tych wierszy, choć ogarniał go strach widząc, dokąd to wszystko mogło prowadzić. Kiedy z czasem dochody ojca stały się skromniejsze, a widmo starości kazało mu oszczędzać, skończył hojne dotacje dla syna, którego reakcją, pewne zniechęcenie w miejsce dawnej pasji, poczytywał za wychodzenie z nieszczęśliwej sytuacji psychicznej.

Jeżeli tak układały mu się stosunki z ojcem, a nie pomagała im wcale lektura pamiętników Kafki, to jakie miał stosunki z matką? Listy, które do niej pisał, były jedną serią komplementów i próśb o paczki. Ale w innym tekście Wojaczek-Piotr opowiada nonszalancko o zachowaniu się Wojaczka-Sobeckiego względem matki.

*O nieszczęsna matko jego, która mu zawsze, kiedy tylko sposobną ku temu znalazła okazję, powtarzałaś: Synku, pamiętaj, szanuj się! A miałaś na myśli zarówno zdrowie jego, o które nie dbał ku wielkiemu twemu utrapieniu, a także nadwężeniu finansowemu, jako że będąc młodym poetą nie korzystał z dobrodziejstwa ubezpieczenia społecznego i za lekarstwa, jakich sobie żądał na chorobę, musiałaś płacić stuprocentową należność; a przede wszystkim,*



powiadając tak do niego, myślałaś o jego opinii u ludzi, którą szargał sobie niebywale. I oto za to, że żadnych wymagań w stosunku do niego nie miałaś poza tym jednym, aby czasem doniósł ci o sobie; za to, że dbałaś, by ubrany chodził jak człowiek; że baczyłaś, by miał się w co ubrać ciepło, by skarpetki miał całe, by gacie miał czyste, by nie chodził w dziurawych butach, by rękawiczki miał na zimę oraz szalik ciepły, by koszule miał choć dwie na zmianę, by miał płaszcz odpowiedni na chłody, by chustek do nosa stosowną zawsze miał ilość, by spodnie mu nie przeświecały na tyłku, by marynarka była nie przetarta na łokciach, by sweter miał i piżamę i papucie; za to, że mu paczkę co tydzień posyłałaś, by mu nie brakowało kawy, herbaty, cukru i papierosów, by masła używał, by sera podjadł, by kiełbasą się posilił; za to, że o pościel jego dbałaś, o czysty ręcznik i o to, by mu mydła nie zabrakło oraz pasty do zębów; za to, że troszczyłaś się, czy ma dobrą szczoteczkę do tychże, grzebień do włosów i wodę kolońską dla powabu; za to, że dbałaś, by mu papierosa do pisarskich potrzeb nie zabrakło; za to, że zebrałaś o ten papier u znajomych maszynistek; za to, że mu dostarczałaś ołówków, gum, notesów, zeszytów, spinaczy, kleju i wszelkich innych przyborów kancelaryjnych; za to, że opłacałaś za niego mieszkanie, że grzywny płaciłaś tak, był ojciec się nie dowiedział, że pokrywałaś sumy nakazów płatniczych kolejowych i komunalnych rozumiejąc, że musiał jechać, choć nie miał pieniędzy; że wykupywałaś go z aresztu, że comiesięczną sumę alimentów na córkę, której znać nie chciał, posyłałaś; że pisałaś do niego listy zawsze mając dlań słowa pociechy w trudnym życiu jego; za to, że byłaś najlepszą matką mimo jego oszczerstw, jakie na ciebie ciskał, jakie odważał się, sprytnie ująwszy w wierszowaną formę, cynicznie podawał do publicznej wiadomości na ból twój i rozgoryczenie; za to, że mu nigdy bólu swego i rozgoryczenia nie okazywałaś, okazując jedynie troskę o to, by mu się jak najlepiej wiodło w niewdzięcznej pracy literackiej; za to że go do uzdrowisk wysyłałaś, opłacając pobyt; że go zabierałaś do Kazimierza i Kołobrzegu, do Połczyna i Iwonicza, by odetchnął, by sił nabrał, a on się na wstyd i pośmiewisko narażał, w awantury się wdając i wszczynając burdy; za to, że był twoim synkiem najukochańszym, najlepszym, zawsze oczekiwanym, hołubionym, obsługiwanym; za to wszystko tak ci się odwdzięcza, szargając nazwisko i dobre imię matki Polki, w podejrzenie podając twoją troskę, twój trud włożony w jego wychowanie, w kształtowanie jego obywatelskiej postawy, zaufanie podważając w twoje poczucie obowiązku i w twoją miłość matczyną, jedyną, cierpliwą, wierną i wieczną.

W jednym z najczęściej cytowanych wierszy Wojaczka pojawiły się splecione razem ważne w jego poezji postacie Matki Boskiej, Polski i matki:

*Matka mądra jak wieża kościoła*

*Matka większa niż sam Rzymski Kościół*

*Matka długa jak transsyberyjska*

*Kolej i jak Sahara szeroka*

*I pobożna jak partyjny dziennik*

*Matka piękna niczym straż pożarna*

*I cierpliwa jak oficer śledczy*

*i bolesna jak gdyby w połogu*

*I prawdziwa jak gumowa pałka*

*Matka dobra jak piwo żywieckie*

*Piersi matki dwie pobożne setki*

*I troskliwa jakby bufetowa*

*Matka boska jak Królowa Polski*

*Matka cudza jak Królowa Polski*

Miał starszego o 12 lat brata. Podobnie jak o matce ironicznie, Wojaczek opisuje go w tymże tekście raczej kąśliwie:

*Pan inżynier, odpowiedzialny pracownik wojewódzkiego urzędu, mający pod swoją pieczę sprawę czystości powietrza, którym oddychają obywatele, mąż żony swej Elżbiety, pracownicy naukowej, zajmującej się zagadnieniem czystości wód, w których ryby żyją na pożytek obywatelom; pan inżynier, właściciel samochodu marki trabant, dbający o niego i myjący go co sobotę przy użyciu gąbki, a także*

*specjalnego szamponu dla samochodów, dbający także o czystość i porządek w mieszkaniu, przy czym dbałość ta z czasem przerodziła się w chwalebny manię o podłożu paranoidalnym, przez co ani jeden najmniejszy pyłek nie miał prawa bytu na rozległych i znakomicie wypolerowanych płaszczyznach parkietu; pan inżynier, prowadzący tryb życia rozważny, w ten sposób, by każda chwila procentowała godziwą gotowizną, nie mogący poświęcać zbyt wiele czasu lekturze, gdyż zmuszony zarabiać na samochód, na benzynę do niego, na dom, na reprezentację, wolne chwile, jakich niezmiernie miał mało, poświęcający pracy w przydomowym ogródku, hodowaniu truskawek, pietruszki i róż;[...] Piotr nocą przechodząc pod oknami domu, w którym brat jego odpoczywał po znoju dnia powszedniego, dla bandyckiej i wysoce niespołecznej fantazji budził śpiącego oraz żonę jego, kamieniami tłukąc szyby w oknach...więc pan inżynier ze snu i tak niestety niespokojnego wrywany tak brutalnie ruszał w pościg za złoczyńcą, co było o tyle łatwe, że Piotr wcale nie zamierzał uciekać, najczęściej z powodu swego stanu nie zdający sobie sprawy z zaistniałego faktu....*

Był jeszcze młodszy brat, aktor, Andrzej. Trzeźwy młodszy brat, wedle określenia poety. Pamięta on swojego trudnego brata z niechęcią. Bo był źródłem niekończących się cierpień rodziny, źródłem różnych wieści, autorem szokujących obrazów w wierszach. Napęłniał bezradnością i lękiem o przyszłość. Rafał, owszem, cierpiał, ale i swoim dostarczał cierpień, więc w końcu podziw dla artysty ustępował złości wobec zarozumiałego sprawcy nieszczęść własnych i cudzych.

W liście do Stefanii Cisek, dopiero niedawno ujawnionym we fragmentach, Wojacek się spowiada:

*...Doszło do tego, że boję się siebie samego. Nie wiem jak się w pewnych sytuacjach zachowam. Wtedy - 10 września (1964) - wziąłem żyłkę, przeciąłem tętnicę i odkręciłem kurki gazowe. I obudziłem się na stole operacyjnym... Buduję więc na nowo gmach złudzeń - ale buduję na piasku, nędzne to podwaliny.*

*To jest okropny stan - świadomość, że w każdej chwili można ponownie chwycić żyłkę. Teraz wychodzą na jaw idiotyzmy teorii o rzekomej „wolności” człowieka. Trzeba mieć zawsze jakieś ponad subiektywne, nadrzędne normy - trzeba mieć cel!*

Tak jak w swoim dzienniku-pamiętniku „Sanatorium”, Wojacek czasem pisał wiersze sobie je dedykując, które mówiły o tzw normalnym życiu, którego unikał. Oto fragment jednego z nich, gdzie wylicza swoje możliwości:

*Mogąc mieć swoją gwiazdę i manierę własną*

*I przy pewnych dochodach mieć jeszcze dość czasu*

*Aby kochać miłością w dobrym tonie smutną*

*Ale pożywną, jakąś dziewczynę niegłupią*

*Studentkę filologii albo medycyny*

*Zamożną z domu, ładną, z gustem oraz czystą -*

*Ty mogłeś być poetą. Ale ciągle 'nie'*

*Uparcie powtarzając dziś nie wiesz, kimś jest!*



Rafał Wojaczek, mat. arch.

Tymoteusz Karpowicz, który Wojaczka znał i czuwał nad jego wczesnymi poetyckimi krokami, we wstępie do „Utworów zebranych” wydanych przez Ossolineum wyjaśnia, że życiowy wybór Wojaczka był osobisty i trzeźwy, że nie było żadnych przyczyn, by eksperymentować ze zdrowiem, wybierać tradycję lumpa ani alkoholika. Jego szaleństwo skierowane było w niego samego, pośrednio w rodzinę. To, co zaczęło się jako chłopięca zgrywa, z czasem stało się grą na serio i przeznaczeniem, z którego nie zdołał się już wywikłać.

Wrodzona większa wrażliwość sztucznie podsycana, pozycja wybijającego się młodego poety, sprawiły, że Wojaczek uzyskał status zbuntowanego artysty obracającego się na pograniczu choroby psychicznej. Nie godząc się na żaden z dostępnych światów, postanowił stworzyć sobie swój własny.

W wierszu na Nowy Rok 1970 napisał m.in.

*Rok łagodnego światła*

*Wzrok zdolny cieszyć się*

*Słuch cierpliwy i chłonny*

*Głos jedynego Boga*

*Dłoń kochanej kobiety*

....

*Chleb z zasłużonej mąki*

*Schron bezpiecznego domu*

*Gość poproszony w dom*

...

*Noc spokojna*

*Sen co przynosi sny*

*Sny a nie koszmary*

*Świt nieokrutny*

*Strach opanowany*

*Gest odmierzony*

*Puls równy*

...

*Śmiech niehisteryczny*

*Smak subtelny*

...

*Mróz nieuciążliwy*

*Piec ciepły*

*Łyk dobrej wódki*

*Woń róży*

...

*Cel wytyczony*

*śmierć pobożna*

*Nie dla mnie.*

Liczyć chciał tylko na siebie, na swoje ciało i na swój organizm. Do podstawowych desygnatów wcześniej wziął śmierć obok poezji, miłości i ojczyzny, które zresztą ambiwalentnie się u niego łączą. Pragnąc siebie potwierdzić, poeta zadaje sobie autentyczny ból. Gnębi go depresja. Miewa kaca, wymiotuje. Te wszystkie stany umyślnie sprowadzone na siebie stały się w końcu kontrolowanym szaleństwem. Wojaczek ćwiczy wolę przeciwko sobie, sam padnie jej ofiarą. Gotowość samozniszczenia obnosi wśród znajomych okaleczając się. Grał z całą świadomością tworząc legendę i chciał, by świat mu się przyglądał z uwagą. Sztucznie głoduje, w próbie uratowania wzniosłości poezji poświęca jej kobietę, brnie przez wszystkie upadki fizyczne i moralne, destrukcję i poniżenie. A to wszystko zdawał się robić z lęku o zatrącenie tożsamości, gdyż ważna dlań była jedynie własna inność.

Atakowanie, jak byśmy powiedzieli, wszystkich świętości było dlań badaniem ludzkiej wytrzymałości. Roił sobie, że właśnie upadek i poniżenie prowadzą do oczyszczenia. Otoczenie znało go jako osobnika psychicznie obolałego, z kompleksami, niezdolnego do podjęcia normalnej pracy. W Krakowie postawiono mu diagnozę, która go, jego zdaniem, piętnowała. Określono go jako psychopatę z tendencjami schizofrenicznymi. Spędził pewien okres czasu we wrocławskiej klinice, miał przed samą śmiercią być badany przez wybitnego specjalistę.

Od czasu do czasu miał przebliski rzeczywistości i robił nieśmiałe próby, by się

ratować. W liście do Stefani Cisek napisał posługuje się cytatem z Kafki: „Weź mnie, weź mnie, splot błazeństwa i bólu”. Ale także rozumiał, że jest już dla niego za późno:

*Zjechałem tu nie w porę  
sezon jeszcze nie otwarty  
a już miejscowi mówią  
że tu się nic nie stanie.*

Złakniony sukcesu został przez krytyka nazbyt wysoko postawiony, tak że jego chorobliwy egoizm przestał przyjmować przestrogi, nastawiony już tylko na zwycięstwa. Dopiero po zgonie Wojaczka Karpowicz ostrzegał, że śmierć poznajemy nie umierając, lecz żyjąc. Ale było za późno.

A przecież poeta sygnalizował swoje chorobliwe zauroczenie śmiercią w wielu kompozycjach. Tak np. kończy wiersz „List do nieznanego poety” , wiersz jak najbardziej autobiograficzny.

*Pańską twierdzą i wygnaniem jest ten pokój  
Wież ponad dobrem złem i społeczeństwem  
Czy pan nigdy nie próbuje z niego uciec?  
Z rozpaczliwych czterech kątów Piąty: śmierć*

Kilka lat sukcesu mieszanego z rozpasaniem zdobyło mu legendę ochoczo przyjmowaną przez młodych. Krytycy podzielili się na hagiografów i oskarżycieli. Dostrzegali jego wielki egocentryzm, ale i zadziwiające widzenie świata „jakby od samego środka bebechów psychicznych”; zdumiewano się, że ze zwykłych słów potrafił pokazać świat w zupełnie innych kolorach, że z organicznego plugastwa zrobił coś urzekającego, nie rozumiano, jak tak młody człowiek mógł widzieć rzeczy ekstremalne, brzydotę wyrażał w rygorach stylistyki i mistrzowsko sprawnego



języka. Te cechy zauważył H.Worcell, który prezesował wrocławskim pisarzom. Do największych promotorów Wojaczka, oprócz już wymienionego Tymoteusza Karpowicza, należał Bogusław Kierc, a pozytywnie wyraża się o nim m.in. Jacek Łukasiewicz, który pisząc po dwudziestu latach nazwał jego poezję „rygorystyczną i swoiście pełną”. Z tym chętnie się zgodzę. Trudniej natomiast przychylić się do jego opinii, że „czyta się te wiersze z radością”. Zdumiewający to dla mnie kwalifikator uczucia powstającego przy lekturze tych osobliwych mimo wszystko wierszy.

W mojej opinii, prestidigitatorskie zręczności Karpowicza i Kierca niewiele czytelnikowi pomagają. Erudycyjne fajerwerki nie oświetlają zadowalająco dokonań Wojaczka, usiłują go raczej dowartościować przez wymyślne asocjacje i całą ekwilibrystykę domysłów. W ostatecznym rozrachunku te wszystkie strategie nie potrafiły go, tak sądzę, z wydumania wynieść na jakiś grunt obiektywnie rozpoznawalny. Wiemy, że ogromnie pracował nad swoimi tekstami, że miał dziesiątki wersji, że niedługo przed śmiercią oświadczył, że jego dzieło poetyckie jest kompletne. Niemniej wątpliwe jest dla mnie, czy wygrał stawkę o poezję, choć spalił się w jej służbie.

Wielu czytelników widzi w tej poezji głównie figury stylistyczne, chęć epatowania obscenami, pozę eschatologiczną. Anonimowy recenzent Wydawnictwa Literackiego z Krakowa odrzucając proponowany przez Wojaczka do druku zestaw wierszy napisał m.in.:

*Są to wiersze dla socjologa raczej niż dla czytelników. Jeżeli nawet istnieje środowisko dla odbioru tego rodzaju 'poezji', należy otoczyć je opieką i wychowywać. Jestem przeciwko nobiletowaniu chuligańskiej hysterii do rangi sztuki... Obsesje były, są i będą motorem wielu utworów, nie można jednak tolerować wulgarności i szokowania ekshibicjonizmem.*

Inny krytyk pisząc o obsesyjnych motywach w końcu załamuje ręce:

*Ale od tych wszystkich kroczy, jelit, odbytów, glist, wymiotów, penisów aż tu gęsto.*

Czy więc sama sprawność formalna może ratować jego twórczość? Czy taka

krańcowość uprawnia do miejsca w literaturze? Czy te głodówki, pijane ekscesy, wyskakiwanie przez szybę, kaleczenie się umyślne otrzymały ekwiwalenty słowne w myśl, że życie to sztuka? Stąd to *votum separatum* krakowskiego krytyka. Tragiczne więc nieporozumienie, nieszczęśliwa aberracja, koszmar, obłąd, a mniej sztuka.

Nie obywa się przy tym bez paradoksów. Większość krytyków podnosi cnotę pisarską Wojaczka, tj. bezpośredniość wyrazu, autentyczność, szczerość, spontanizność. Niczego podobnego jednak w niej nie znajdujemy. Materiał jego jest wybitnie literacki i przeszedł przez żmudną obróbkę fachowca.

Życie jawiło mu się jako maska śmierci, z którą najpierw igrał, jak Don Juan ze statua komentatora, a kiedy ona w końcu rzeczywiście zapukała do jego bramy, wpuścił ją, bo już mu honor nie pozwalał wycofać się ze sprawy. Wojaczek zapowiedziawszy swoje odejście, czekał na odpowiedni moment, aby targać się na swoje życie, i to nie w chwili nieopanowania, ale w chwili wyważonej, i konsekwentnie zamiar swój zrealizował. Odratowany, gdy próbował się powiesić (w jednym z wczesnych wierszy szukał swojej szubienicy), otrął się środkami nasennymi, których pełny spis pozostawił na skrawku papieru donoszącym o samobójczej śmierci Borowskiego. Ta śmierć miała go zniszczyć, ale także unieśmiertelnić.

Mniej heroicznie natomiast brzmi czterowiersz Rimbauda zakreślony w ramkę, z adnotacją Wojaczka na marginesie „dobre jako przestroga”, znaleziony w egzemplarzu jego lektury:

*Młodości próżniaczej  
w jarzmo nikt nie chwycił,  
przez łatwość wybaczeń  
zmarnowałem życie.*

Uparta choroba prowadziła Wojaczka do samozagłady. Mając niepospolity dar słowa szukał w literaturze, w poezji ratunku dla siebie. Posiadał często klarowną świadomość inności, potrafił jednak doceniać wartości przez siebie z różną gwałtownością negowane i chętnie z nich korzystał.

Brutalne wyuzdanie i częsty sadyzm wskazują, że padł ofiarą swoich ciemnych demonów: wzywał je, dał im się opętać, a wciągnięty do ostatecznej rozgrywki, w końcu jej nie sprostał. Pozostanie on dla nas niepojętym, zdumiewającym znakiem.

---

## **Pisarz nie jest właścicielem piękna**



Christian Teodorescu, fot. mat. prasowe.

**Rozmowa z rumuńskim pisarzem Cristianem Teodoresc o tragikomizmie w życiu i literaturze oraz o utraconej pamięci i jej odzyskiwaniu.**

**Barbara Lekarczyk-Cisek:** Pańska książka "Medgidia miasto u kresu" zrobiła na mnie wielkie wrażenie i choć czytałam ją przed rokiem, utkwiły mi w pamięci liczne obrazy. Jednym z nich są papryczki Januszka - jednego z Pańskich bohaterów. Po przeczytaniu tej historii, papryczki już na zawsze będą mi się kojarzyć z tą opowieścią. Proszę mi przy okazji zdradzić, czy Januszek jest postacią fikcyjną, czy ma swój pierwowzór i czy rzeczywiście zmarł po spożyciu pięćdziesięciu ostrych papryk...

**Cristian Teodorescu:** Prawdziwy Januszek wielokrotnie zjadał taką ilość papryczek i wygrywał zakłady, ale w tym przypadku jednak naprawdę stracił życie.

**BLC:** Dla mnie ta historia jest - jak w przypadku innych Pana bohaterów - przykładem ironii losu. Kiedy spodziewamy się (a może pragniemy) jakiegoś pozytywnego zakończenia, sprawy przybierają zgoła tragiczny obrót.

**CT:** A czy w ogóle możliwe jest życie inne niż tragikomiczne..?

**BLC:** Ale dla starożytnych Greków było tragiczne.

**CT:** To prawda, że Grecy nie mieszały tragizmu z komizmem. Prawdopodobnie jedynym zwornikiem był chór antyczny, który komentował wydarzenia na różne sposoby. Moim zdaniem, ten tragikomizm jest naszą daniną, którą musimy oddać jedynemu Bogu, który się ostał w naszej kulturze. W starożytności bogów było wielu. W "Imieniu róży" Umberto Eco występuje postać, która nie lubi się śmiać: brat Jorge z Burgos. Ukrywał traktat Arystotelesa o komizmie, przekonany o destrukcyjnej sile śmiechu. Gdybyśmy tak samo myśleli, skutki tego byłyby równie tragiczne, jak w powieści Eco.

**BLC:** We wstępie do swojej powieści podkreśla Pan rolę prawdy, która została wymazana z pamięci narodu oraz istnienie białych plam w historii Rumunii. A z drugiej strony pragnie Pan opowiadać piękne historie: o swoich dziadkach, o swoim mieście... Która z tych motywacji była silniejsza?

**CT:** Obie te motywacje były równie silne. Część opisanych przeze mnie historii jest prawdziwa, część wymyślona, ale w obu przypadkach chodziło o to, aby jak najbardziej zbliżyć się do prawdy o tamtych czasach. A że przy okazji są to ładne

opowieści, to już nie moja zasługa, tylko tego kogoś "z góry". Pisarz nie jest właścicielem piękna, raczej jego depozytariuszem. Trudno też jest jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, czy tego typu opowieści są w stanie przyczynić się do odzyskania zbiorowej pamięci. Mam jednak nadzieję, że przynajmniej mieszkańcy Medgidii, którzy przeczytali książkę, dowiedzieli się czegoś o nieznanym im kompletnie historii miasta.

**BLC:** Jednak sposób opowiadania historii jest już dla pisarza charakterystyczny. Język Pana opowieści jest dla mnie wprost niezwykły, co jest zapewne także zasługą dobrego tłumacza, bo przecież nie znam oryginału.

**CT:** No cóż, czasami bywa tak, że tłumacz jest bardziej utalentowany niż autor (śmiech).

**BLC:** Nie przesadzajmy. Sam pomysł, układ opowiadań, które są rodzajem mikrokosmosów, bo każde opowiadanie ma swoją dramaturgię i może stanowić odrębną całość - to wszystko są Pana oryginalne pomysły.

**CT:** Od samego początku myślałem o tym, żeby napisać powieść, która będzie inna niż wszystkie. Pierwszych kilkadziesiąt części nie sprawiły mi zbyt wiele kłopotu - pisały się gładko. Ale około sześćdziesiątej części zaczęły się poważne problemy. Musiałem bardzo się pilnować, aby początek kolejnej opowieści nie był powtórzeniem tego, co wydarzyło się wcześniej, a jednocześnie akcja musiała postępować i rozwijać się. Należało bardziej wysilić wyobraźnię, aby wygrać zakład z sobą samym o to, że uda mi się stworzyć taką właśnie nietypową opowieść.

**BLC:** Kiedy czytałam Pańską książkę po raz pierwszy, porównałam ją do wschodnich miniatur - precyzyjnie zbudowanych opowieści, mających podwójne dno. Kiedy zajrzałam do niej ponownie, przygotowując się do wywiadu, skojarzyła mi się - *toutes proportions gardées* - z epopeją Homera. W obu przypadkach mamy do czynienia z opowieścią o końcu jakiegoś świata, a poza tym Pan również zbiera w jedną całość historie, które się wydarzyły naprawdę i przedstawia je w formie literacko wysublimowanej i dojrzałej. Na ile zmienił Pan gotowe historie, że stały się tym "czymś więcej"?

**CT:** Kilkanaście spośród opowiedzianych w książce historii zostało przejętych z

opowieści moich dziadków i przyjaciół. Jednak większość z nich jest wytworem mojej wyobraźni. Podczas promocji mojej książki w mieście Medgidia jeden z uczestników spotkania powiedział, że słyszał historię majora Scipiona i zaczął mi o nim opowiadać. Kiedy skończył swoją wypowiedź, z żalem musiałem go poinformować, że takiej osoby nigdy nie było i jest ona całkowicie wytworem mojej wyobraźni (śmiech).

**BLC:** Zawarł Pan w swojej powieści nie tylko ludzkie historie, ale nawet opowieść o psie jednej z bohaterek, co mnie niezwykle urzekło, bo w ten sposób w Pańskim mikrokosmosie nie brakuje właściwie niczego... Jednocześnie czytelnik ma świadomość, że opisuje Pan świat, którego już nie ma.

**CT:** Wychowałem się w Medgidii i zapamiętałem z dzieciństwa, jak dwa razy w tygodniu przez miasteczko przejeżdżał wóz hycła, który wyłapywał bezdomne psy. W psich oczach widziałem tak wielki smutek, że zapamiętałem to do końca życia. I kiedy zacząłem pisać tę opowieść, postanowiłem poświęcić jej część również psiemu losowi.

Dziadkom, u których spędziłem wczesne dziecięce lata, zawdzięczam wiele opowieści, dzięki czemu udało mi się zapamiętać atmosferę tamtego świata. Ludzie należący do jego elit zostali zepchnięci po wojnie na obrzeża, ponieważ nowy reżim ich nie tolerował. Odchodzili na moich oczach, a wraz nimi znikał tamten świat. Do Medgidii zaczęli przyjeżdżać za pracą nowi ludzie, którzy nieśli ze sobą inne historie, zupełnie różne od dotychczasowych. Po śmierci dziadka Stefana zrozumiałem, że to jest już zupełnie inne miasto.

**BLC:** Ale powrócił Pan do niego w swojej twórczości...

**CT:** To nie ja powróciłem do Medgidii, ale ona wróciła do mnie! W pewnym momencie zacząłem sobie przypominać te różne historie i gdyby nie było tych czterech - pięciu głównych postaci, trudno by mi było stworzyć całość opowieści.

**BLC:** Czy w Pańskiej twórczości temat pamięci jest wiodący?

**CT:** Temat utraconej pamięci jest obecny w mojej prozie od samego początku, kiedy to powstało opowiadanie "Dom", w którym zawarłem historię mojej babci z Medgidii. Po opublikowaniu go w antologii, spoczęło w szufladzie, ale już wtedy chciałem

podjąć ten temat ponownie i znacznie szerzej. W innej mojej książce - *Tainele inimei* ("Sekrety serca") również jest obecna postać majora Scipiona, który całym sobą przypomina o świecie bezpowrotnie minionym.

**BLC:** A co Pan pisze obecnie?

**CT:** W ubiegłym roku pojawił się pierwszy tom z cyklu *Şoseaua Virtuții. Cartea Câinelui* („Droga cnoty. Księga psa”) - powieść o transformacji ustrojowej, od lat 90., kiedy to tworzył się drapieżny rodzimy kapitalizm. Obecnie pracuję nad drugim tomem, ale myślę też o powieści, która tworzyłaby dopełnienie do "Medgdii". Tym razem jednak chciałbym opisać świat dziadków mojej żony, pochodzących z Transylwanii, którzy po wojnie przybyli "za chlebem" do stolicy. Ich losy stanowiłyby kanwę nowej powieści. Mam nawet w głowie gotowy pierwszy rozdział, w którym opisuję prawdziwe wydarzenie. Otóż kiedy zmarła babcia mojej żony, do drzwi zapukało dwóch ubranych na czarno starszych panów, którzy oświadczyli, że są z towarzystwa pogrzebowego "Kukułka" i oferują swoje usługi. Okazało się, że babcia posiadała legitymację z numerem jednego z tego towarzystwa, a co więcej - jego założycielem był mąż babci. Trumnę miał wieźć wóz zaprzężony w kilka koni, ozdobnie wystrojonych w czarne pióropusze. Był rok 1981 i matka żony odmówiła takiego pompatycznego pogrzebu, ale w moim opowiadaniu babcia zostanie jednak pochowana tak uroczyście.

<http://kulturaonline.pl/>

---

## „Dotykanie świata”



Promocja tomu wierszy Floriana Śmieji „Dotykanie świata” w Konsulacie Rzeczypospolitej Polskiej w Toronto, 22 listopada 2016 r. Prowadzenie Edward Zyman.

## Rozmowa z profesorem i poetą Florianem Śmieją

**Joanna Sokołowska-Gwizdka:** Panie profesorze, w listopadzie ukazał się tom Pana wierszy „Dotykanie świata”. Jest to podróż przez myśli, obserwacje i emocje z całego Pana życia, począwszy od utworów z tomu „Czuwanie u drzwi” wydanych w roku 1953 aż po najnowsze. W Pana wierszach pojawiają się motywy katastroficzne, mocno zarysowane we wczesnym okresie twórczości, w późniejszym – w warstwie semantycznej łagodnieją, ustępując miejsca refleksji nad sensem bytu.

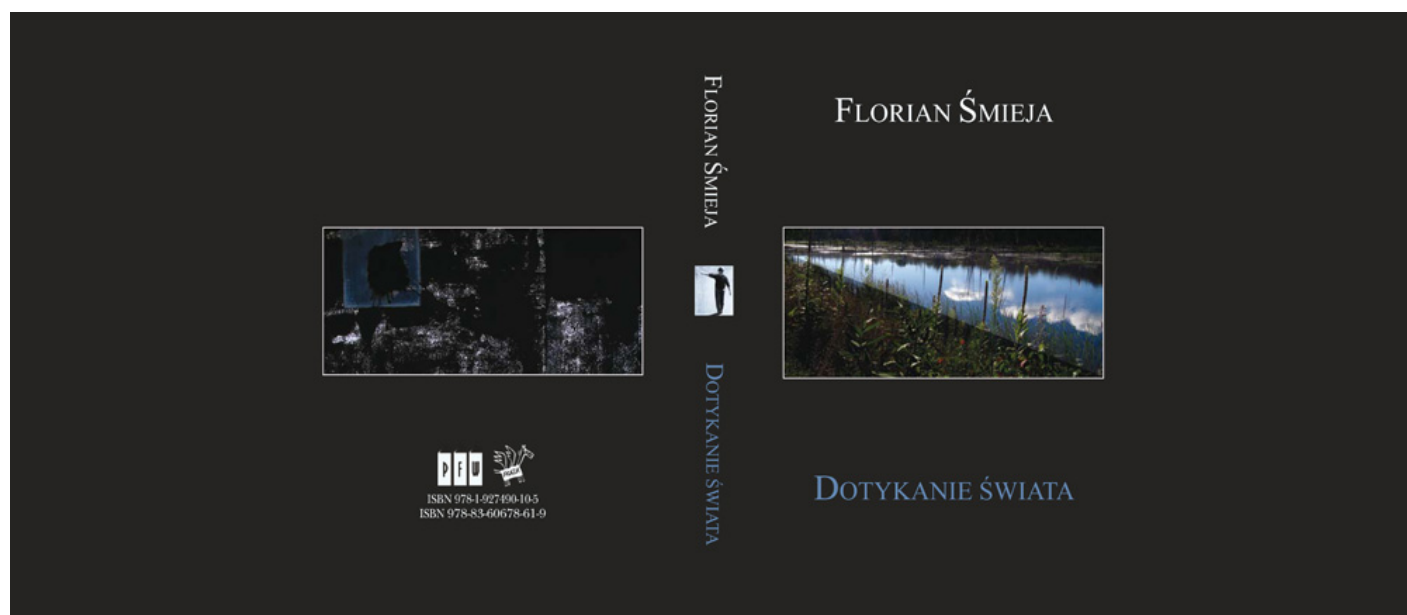
**Florian Śmieja:** Byłem świadkiem, a potem uczestnikiem wojny światowej, więc nic dziwnego, że jej horrory zaznaczyły się mocniej w mojej twórczości. Później czasowe



oddalenie i zaistniały dystans sprawiły, że odezwały się łagodniejsze tony, a te pozwoliły na zadumę i refleksyjność, na pragmatyczne docenienie stanu posiadania.

**JSG:** Część z Pana wierszy to małe traktaty filozoficzne pełne rozważań egzystencjalnych. Stawia Pan pytania bez odpowiedzi.

**FŚ:** Nieraz nas frapuje nieprzewidziany kalejdoskop rzeczywistości i staramy się sformułować swoje niedowierzanie. Stawianie pytań jest łatwiejsze niż ferowanie konkluzji, bo odpowiedzi są trudne, wieloznaczne, często wręcz niemożliwe. Odnoszę wrażenie, że zamiast czuć się *homo sapiens* człowiek jest *homo quaerens intellectus*, raczej istotą dociekliwą, szuka rozumienia, a sama taka aktywność nas już nobilituje.



**JSG:** Motywy emigracji, ziemi utraconej, wyobcowania, powrót do wspomnień, kraju dzieciństwa, często pojawiają się w Pana utworach. Czym jest dla Pana emigracja zarówno ta fizyczna, jak i duchowa?

**FŚ:** Emigracja była nieprzewidzianą i niepożądaną przypadłością. Zdemobilizowany po zakończeniu wojny w Anglii, miałem różne pomysły włącznie z zostaniem rybakim dalekomorskim. Byłem już na kursie w szkockim porcie Aberdeen, kiedy otworzyła się możliwość studiów humanistycznych w Irlandii. Te mi się powiodły i poszczęściła kariera zawodowa. W rezultacie ułatwiły mi funkcjonowanie w obcym społeczeństwie, a ówczesne liczne i prężne polskie ośrodki i żona Polka sprawiły, że

zachowałem swoją tożsamość i nie nastąpiło wykorzenienie. Pokrewne duchowości zapewniły rodzinną harmonię i godziwy rozwój. Nie musiałem też „pisać na Berdyczów”, bo mogłem wielokrotnie odwiedzić kraj lat dziecińczych i spotkać jeszcze niektórych pamiętanych ludzi.

**JSG:** Czy pamięć to istnienie, a niepamięć to lekarstwo na pamięć?

**FŚ:** Pamięć nazwałem w jednym z wierszy „glejtem na stare lata”. Tamże wzywam:

*pielęgnujmy pamięć*

*skoro nic poza nią nie istnieje.*

*Bo w chwili próby nie możemy być sami*

*świat zapamiętany będzie cumą*

*zbawienną, zapisem wypełnionego...*

**JSG:** Jest Pan mocno osadzony w literaturze i kulturze hiszpańskojęzycznej, włada Pan biegle językiem angielskim, zna Pan język niemiecki. A jednak językiem Pana poezji jest głównie język polski.

**FŚ:** Słyszy się opinię, że poezję pisze się w języku odebranym od matki, czyli w języku, który jest dla człowieka najbardziej intymny. Pisanie w obcym języku, angielskim czy hiszpańskim, właściwie nie wchodziło w grę. Próbowałem, ale to się nie udawało, raczej wmawiałem sobie, że coś się udało napisać, ale myślę, że to były nieudane próby. Jednak ten język matczyny, dla każdego jest podstawowy, zażądał swoich praw i wydał się najśluszniejszym. Dlaczego? Bo jak ja napiszę coś po polsku, myślę oczywiście o wierszu, to mam pewność, że to jest właśnie to, co napisać chciałem, nawet jeśli to trzeba poprawiać, wprowadzać pewne korekty.

Każdy inny język, w moim przypadku angielski czy hiszpański, wymagałby jeszcze człowieka, dla którego to jest język naturalny i który potrafiłby wyłapać wszystkie jego niuanse. To właśnie było powodem, że zostałem przy polskim. Był moment, kiedy wraz z kolegami w Londynie zastanawiałem się, czy nie przejść na język angielski.

**JSG:** Nestor pisarzy polskich, Zygmunt Nowakowski, ani przez chwilę nie zwątpił, że zwycięży język polski.

**FŚ:** Mimo, że widział, iż stare i młode pokolenie pisarzy na uchodźstwie odnosiły się do siebie z obojętnością i chłodem, nie miał wątpliwości, co do tego, który język młodzi wybiorą. Decyzja nie zapadnie w dyskusji, argumentował: *Ona wykluje się sama, w samotności, w pasji, w trudzie, w męce, w wewnętrznym szamotaniu się. Decyzja taka nie może być dziełem rozwagi. Ona przyjdzie pewnego dnia jak piorun. I będzie wyrazem solidarności, nie wykalkulowanej na zimno, nie wyrozumowanej, ale radosnej tajemniczej solidarności z Polską, przed którą nie da się uciec nigdzie, nigdzie ukryć, nigdzie zamknąć.* I dodał na koniec: *A język, zamiast kulą u nogi lub wędzidłem, stanie się ostrogą do lotu.*

**JSG:** Dedykował Pan tom „Dotykane świata” swojej żonie. Czy żona podróżując z Panem przez życie, podróżuje również przez tworzony przez Pana świat poezji?

**FŚ:** Żona, towarzyszy mi dzielnie od ponad 62 lat, wędrowaliśmy od Londynu przez Karaiby po Hawaje. Nie sposób negować jej zasadniczego udziału w dotykaniu świata. Wybieraliśmy wspólne wędrówki, względnie godziliśmy się na ofertę losu.



Florian Śmieja z żoną Zofią z Poniatowskich w 62 rocznicę ślubu w lipcu 2016 r.

---

# **Medgidia, miasto u kresu: Ćwiczenia z pamięci.**

**Barbara Lekarczyk-Cisek**



**Proza Cristiana Teodorescu ma urodę wschodnich miniatur - precyzyjnie zarysowanych mikroopowieści, w których za anegdotą skrywa się filozoficzna refleksja. Jako całość są one jednak ćwiczeniami z pamięci, którą w latach pięćdziesiątych skutecznie zacierano. Podobnie jak w Polsce.**

## **Żebracza apokalipsa**

Teodorescu przedstawia świat małego miasteczka, które dotyka apokalipsa - wojenna, ale także apokalipsa dwóch totalitaryzmów. Przedstawia ją w jednym z opowiadań na swój specyficzny sposób. Otóż opowiada o dwóch dworcowych żebrakach: Kulawym Prztyczku i ślepym paralityku Marcelu, którzy podzielili między siebie rewir dworca. Wszystko szło zgodnie z umową, kiedy pewnego dnia pojawił się trzeci - „żebrak apokalipsy” - dobrze zbudowany mężczyzna, który podpierając się kulą, defilował wzdłuż wagonów, informując pasażerów o nadchodzącym końcu świata:

*Koniec świata puka do drzwi! Ale On, Ten, któremu nie możemy ucałować stóp, aby dostąpić zbawienia, daje wam jeszcze szansę okazania potrzebującym miłosierdzia, mimo wszystkich waszych grzechów!*

Dwaj żebracy poczuli się zagrożeni, toteż *spuścili przybłędzie manto, aby zrozumiał, że koniec świata może dla niego nadejść znacznie wcześniej niż dla reszty ludzi.* Jednak nie omieszkali wykorzystać pomysłu i od tej pory także używali argumentu nadchodzącej apokalipsy – każdy na swój sposób.

We wstępie do polskiego wydania książki autor wyjaśnia:

*W ciągu zaledwie dekady, którą rozpoczął rok 1938, w Rumunii zmieniło się tak wiele, że nawet świadkowie owych częstokroć katastrofalnych zmian przestali wierzyć, że wydarzyły się one naprawdę, a zaczęli myśleć, że był to jakiś senny koszmar. Wielu z tych, którzy marzyli o powrocie do normalności, trafiło do więzień. Aby dawne czasy zatarły się w zbiorowej pamięci narodu, począwszy od lat pięćdziesiątych, z rozkazu kolejnych władz, historia Rumunii była wielokrotnie pisana na nowo.*

Teodorescu przywraca więc pamięć dotyczącą nie tylko narodu, ale czyni to także w odniesieniu do swoich dziadków i świata, w którym dane im było żyć.

### **Medgidia - rumuńskie Makondo**

Skojarzenie Medgidii z fikcyjnym Macondo ze „Stu lat samotności” Marqueza przychodzi na myśl, gdy czyta się te wszystkie opowieści, ponieważ – choć nieodległe w czasie – wydają się jednak należeć już do sfery pewnej mitologii. Takiego miasteczka bowiem, jakie poznajemy na początku tej opowieści, już nie ma. Nie żyją bohaterowie owych historii, a odtworzone realia zmieniły się nie do poznania. Tętniące życiem miasteczko, zamieszkałe przez Rumunów, Żydów, Ormian, Turków, przypomina trochę mityczną Bukowinę.

Oprócz historii swego dziadka – Stefana Teodorescu, zwanego Stefankiem, właściciela dworcowej restauracji, pisarz snuje barwne opowieści o innych mieszkańcach Medgidii: jubilerze Marcelu, który terminował u paryskich mistrzów i który zmuszony został do opuszczenia miasta na fali antysemityzmu, co potem okazało się zbawienne, zważywszy wszystko, co działo się w Europie z Żydami podczas II wojny. Marcel wyjechał do Nowego Jorku, gdzie wkrótce został milionerem. Innym bohaterem jest imam Hassan – prawdziwy mędrzec, którego rady

zasięgają imamowie z całej Turcji i który grywa w szachy ze Stefankiem i z majorem Scipionem – komendantem pułku, mimo że początkowo unika go „z racji jego mało finezyjnego, koszarowego usposobienia”. Śledzimy także zmienne losy bezkompromisowego majora i jego skrywanej, ale wielkiej i odwzajemnionej miłości do żydowskiej lekarki Leili. W miasteczku mieszka nawet jeden Rosjanin – Grigorij, który zajmuje się kowalstwem, bije swoją żonę i ukrywa przeszłość.

Każdy z tych bohaterów to odrębna opowieść, a właściwie cykl miniaturowych opowieści, które wszakże stanowią odrębne, zamknięte dramaturgicznie historie. Jeśli jednak uważnie śledzimy losy bohaterów – a są one tak fascynująco przedstawione, że nie sposób się od nich oderwać – zauważymy, jak się one zmieniają na skutek historycznych wydarzeń. Niektórych historia miażdży bezlitośnie, inni wychodzą z doświadczenia totalitaryzmu (zwłaszcza komunizmu) przemienieni. Ale są i tacy, którzy pozostają jakby nietknięci przez okrucieństwa losu – jak piękna lekarka Leila, mimo że jest Żydówką, osobą niezwykle prawą i bezkompromisową. Ona zresztą także na koniec emigruje. Miasteczko, zarządzane przez przedstawicieli komunistycznego reżimu, szarzeje, brzydnie i przestaje być tętniącym życiem, wielokulturowym tygłem.

### **Śmiercionośne papryczki Januszka**

Teodorescu uwodzi czytelnika nie tylko pasjonującymi opowieściami. Istotne jest także to, że owe cudowne miniatury charakteryzuje specyficzny humor i wszechobecność ironii losu, aletakże ironii historii. Dzięki temu każda anegdota zyskuje drugie dno.

Mnie najbardziej urzekła miłosna historia jednej z głównych postaci – kelnera Januszka. Otóż restauracja Stefanka Teodorescu zawdzięczała swoje powodzenie nie tylko atmosferze, którą stwarzał właściciel, ale przede wszystkim obecności kelnera, który przed wojną pracował w Orient Expressie, znał języki i świetnie opanował sztukę przygotowywania i podawania potraw. Marzył o tym, aby otworzyć własną restaurację w Bukareszcie, a może nawet kabaret, jednak ciągle brakowało mu na to pieniędzy. Tymczasem ani się obejrzał, kiedy „stuknęła” mu czterdziestka. Pozostawał w stanie kawalerskim, ponieważ „jako wielbiciel kobiet nie ryzykowałby

zakochania się w którejś z nich". I oto pewnego dnia spojrzął w oczy młodej dziewczynie, zatrudnionej w kasie na stacji i... stało się. Żeby móc znowu popatrzeć jej w oczy kupił niepotrzebny mu bilet, a potem starał się zawsze być w pobliżu niej i choć robił to nader dyskretnie, dziewczyna zauważyła jego starania. I choć nie było to w zwyczaju, ale obyczaje powoli zaczęły się zmieniać - pozwoliła mu odprowadzać się do domu, a wreszcie gotowa była za niego wyjść. Kiedy jednak przyszły teść pogodził się z myślą, że córka wyjdzie za mąż za starszego od niej o dwadzieścia lat mężczyznę, Januszek postanowił coś udowodnić kolejarzowi, który stroił sobie żarty z jego związku. Założyli się, że jeżeli Jan zje pięćdziesiąt ostrych papryczek, kolejarz wyjedzie z miasta. Kelner był tak szczęśliwy, że gotów był zjeść dwa razy tyle. Zakład wygrał, po czym... wyzionął ducha.

Teodorescu opisuje nie tylko śmiertelne papryczki. Pisze o rewizjach, fałszowanych wyborach, przesłuchaniach, bezprawnym zabieraniu majątków, zawsze jednak w kontekście ludzkich losów, bohaterów, których - dodajmy - zdążyliśmy już poznać i jakoś się do nich przywiązać. Zawsze towarzyszy temu dyskretny humor, niekiedy czarny, jak w opowiadaniu "Kupiecki kadysz", w którym inny bohater - Żyd Haiks traci cały towar i majątek, a nawet mieszkanie, ale nie traci poczucia humoru, tylko postanawia porozmawiać ze Stefankiem o kadysz - modlitwie za umarłych, którą powinno się nad nim zaśpiewać trzykrotnie.

Wielowątkową powieść Cristiana Teodorescu można czytać na różne sposoby. Sam autor, z właściwym sobie poczuciem humoru, sugeruje, aby tak właśnie czynić:

*... mogą Państwo rozpocząć lekturę w dowolnym miejscu. Najbardziej niecierpliwi mogą czytać od końca do początku. Amatorzy powieści o szybkiej akcji mogą zacząć lekturę od początku i przeskakiwać przez tak zwane rozdziały - wypełniacze, natomiast ci z Państwa, którzy chcą poznać powieść jak powieść, powinni ją przeczytać od początku do końca, nawet jeśli składa się ona z ponad setki opowiadań.*

*Powieść „Medgidia, miasto u kresu” ukazała się nakładem Wydawnictwa Amaltea, w przekładzie Radosławy Janowskiej-Lascar.*

**Wywiad z Cristianem Teodorescu ukáže się na Culture Avenue we wtorek, 10**



stycznia 2017 r.

<http://kulturaonline.pl/>

---

# Zaczarowany Dom pod Wiewiórką

Joanna Sokołowska-Gwizdka



*Maria Kuncewiczowa, fot. Danuta Rago.*

*...Jerzy, jak mam sobie wyobrazić tę przestrzeń czy ten żywioł, czy ten byt, gdzie ty teraz jesteś? Patrzą na to samo, na co kilka miesięcy temu i przez sześćdziesiąt lat przedtem patrzyliśmy razem i widzę co innego. Wisła płynie i niebo się smuży obłokami, promieniami, wspomnieniami, ale tylko po wierzchu... Szeptalam czułe wyrazy z żarliwością, jakiej skąpiłam, kiedy byłam młoda. Teraz omdlewam z żalu: dlaczego? Dlaczego szczeniłam tak długo tej mowy erotycznej, jedynej prawdy serca? Zaklinałam ciebie: Usłysz! Słuchaj, jak ja ciebie kocham, jak pragnę, jak dziękuję!... Otóż i prawda ostateczna: na rzecz najważniejszą zawsze czasu*

*zabraknie...*

Maria Kuncewiczowa: *Listy do Jerzego*

Drewniany dom projektu Karola Sicińskiego stoi na wzgórzu, na końcu Wąwozu Małachowskiego. Ogrodzony gęstym parkanem drzew i krzewów, jest prawie niewidoczny. Skrzypnięcie furtki, długa aleja, kwiaty przed tarasem. Czuję zapach róż. Nie zdążyłam zapukać. Maria Kuncewiczowa zobaczyła mnie przez okno.

- Ale po coż te kwiaty - uśmiecha się pisarka, patrząc na ogromny bukiet herbacianych pąków.

A więc to jest dom, który znam doskonale z *Kluczy, Fantomów, Natury*. To nad nim świecą dwa księżycy. To tu w ciszy, zieleni i w zaczarowanym kole artystycznych zdarzeń powstają myśli, słowa, zdania. Z niemego odrętwienia i chęci zapamiętania wszystkiego od razu i na zapas wyrywa mnie ciepły głos. Autorka *Dwóch księżyców* prowadzi przez sień, pokój z kominkiem, salonik z widokiem na taras. I opowiada. O każdym sprzęcie, o pamiątkach i ich historii. Ile razy i ile osób musiało już to słyszeć. A jednak, mam wrażenie, że pisarka mówi po raz pierwszy i to tylko do mnie.

Ciepła, uśmiechnięta gospodyni, w długiej czarnej spódnicy, białej bluzce zakończonej zabotem z wpiętą starą broszą-kameą, z włosami swobodnie upiętymi w górze, zwraca moją uwagę na wszystko od początku. Powoli wprowadza mnie w klimat swojego świata, który budowała ponad 90 lat, złożonego z tak wielu elementów, przeżyć, wspomnień, uczuć. Świata, z którego większość bliskich już odeszła. Do męża Jerzego pisze codziennie listy. Na syna Witolda, który wybrał wolność za Oceanem w odległej Ameryce, czeka co roku. A wnuk Adam... *ogromny, brodaty, łagodny i obcy* nigdy tu nie przyjedzie. Dom żyje swoim życiem, wypełniony spełnionymi i niespełnionymi marzeniami i myślą o uciekającym czasie, który trzeba do końca wykorzystać.

We wnętrzu moją uwagę zwracają sosnowe bale. Równo poukładane stanowią zasadniczą konstrukcję ścian, a podwieszane, są ozdobą na wzór staropolski. W

największym pokoju sufit przypomina wspaniałą kasetonową mozaikę, a w holu zaprojektowano strop w desenie. Posadzkę ułożono z czarnych, wiślanych dębów. Drzewa te przez wiele lat leżały zatopione w wodzie, dzięki czemu uzyskały dużą twardość, odporność i czarny kolor. Wyglądają jak heban. Nad kominkiem wisi świecznik. Duży, czarny, surowy, rozłożysty, a w nim rząd świec.

- To meksykański - mówi pisarka, idąc w ślad za moim wzrokiem. - A w kominku już od dawna się nie pali, bo zamieszkały tu ptaki.

Z prawej strony kominka wąskie schody, ozdobione giętą poręczą, prowadzą do pokoi na piętrze. Z kutego metalu wyłania się wiewiórka rozsypująca orzechy, układające się w inicjały M.J.W.

- To są inicjały moje, męża i syna. Dom ten miał się kiedyś nazywać „Domem pod Wiewiórką”.

Środek holu zdobi czarna, ciężka, metalowa latarnia.

- Wykonał ją świetny artysta, pan Sobko z Kazimierza. To jedyny przedmiot, który ocalał z rzeczy przedwojennych. Było tu przecież spustoszenie. Niemcy wynieśli wszystkie książki, obrazy, meble i spalili.

*...w przededniu całopalenia Polski polubiłam rzeczy - przypomina mi się fragment „Fantomów” - Że to stanie tu. A tutaj potrzebne jest tamto. Czy coś dobrze wisi, czy się zamyka, czy błyszczy, nie skrzypi, nie kuleje. Dom okazał się istotą. Złożony z miliona komórek miewał rumieńce, bywał blady, promieniał i chmurniał. Budził się razem ze mną, razem ze mną zasypiał, ale w nocy dziwniał, snuł swoje osobne życie - belki wzdychały, roniły żywicę, lasowało się wapno, wyły kominki, osiadały kamienie, przypominał się daleki las, z którego przywędrowały bale sosnowe i olchowe gonty, śnił się kamieniołom nad rzeką... Dom gęstniał, pochłaniał mnie, a jednocześnie sam wrastał w tajemniczą perspektywę, która mogła być moją historią, chociaż nią nie była. (...) Siciński zbudował go jak pudełko samowystraszalne w ramach swojej architektury, nie wymagającej innych ozdób niż światło i harmonia. Wszechstronnie oszklony, wewnątrz złoty i kremowy, pachnący berwionami, rzeczy zbyteczne odrzucał. Za to rzeczy, które przyjął stawały się podwójnie własne: nasze i domu.*



Willa pod Wiewiórką, fot. Mateusz Stachyra, Muzeum Nadwiślańskie – Kuncewiczówka w Kazimierzu Dolnym.

A potem

*...patrzyłam na dom, w którym po 10 latach przygotowań mieszkałam cztery miesiące. Pierwszy własny dom w rodzinie odkąd prapradziad zaprzepaścił swoją Psią Wólkę wstępując do Legionów we Włoszech. Ale nie było czasu na podejrzenia, zaraz odjechaliśmy.*

Zaskrzypiała „hebanowa” podłoga i znalazłam się w widnym pokoju z widokiem na las. Ściany pełne obrazów. Kilimy, książki. Pod oknem duże biurko, a na nim fotografia papieża i rozrzucone kolorowe albumy, m.in. ze zbiorami na Wawelu.

- To jest biurko Wyczółkowskiego - objaśnia gospodyni, otaczając mnie uśmiechem - Meble kupowaliśmy z mężem po wojnie. Większość z nich pochodzi z antykwariatu w Radomiu. Na podłodze położyliśmy wschodnie kilimy. A tu w rogu stoi nasza

biblioteczka, z książkami moimi, męża i bratanka, Jana Józefa Szczepańskiego. A o... tu... to jedna z ostatnich fotografii męża...

Rysunki, obrazy. To Londyn po zbombardowaniu, a to plakat do „Cudzoziemki” . Wszystko piękne, wszystko ma jakąś treść, wiąże się ze wspomnieniami, żyje swoim życiem i ma duszę. - A to są projekty kostiumów wykonane przez Irenę Lorentowicz - mówi Maria Kuncewiczowa - To ona projektowała kostiumy i scenografię do „Harnasi” Szymanowskiego w Paryżu.

Irena Lorentowicz, serdeczna przyjaciółka Marii Kuncewiczowej *...dziewczyna w wielkim kapeluszu słomianym, w sukni białej, dziewczyna z książki o przygodzie, dziewczyna-obraz* wiązała się nierozzerwalnie z Kazimierzem, „cygańskim życiem” i artystyczną przygodą. Kazimierska malarka, wtopiona w nadwiślański pejzaż stanowiła jego stały element. Zaprowadziła kiedyś pisarkę po *darniowych schodkach na wzgórze, gdzie w kwitnącym sadzie stała mała chatka i powiedziała: - Tu powinnaś zamieszkać.*

*...Widywałam ją potem w Warszawie - pisała Maria Kuncewiczowa - gdzie nosiła suknie uroczyste, wizytowe, jak przystało na córkę dyrektora Teatrów Warszawskich, znakomitego krytyka, Jana Lorentowicza (...)* Widywałam ją też w Paryżu w *aksamitnym berecie, z bukiecikiem fiołków, szczęśliwą mieszkankę rue Fridevaux na bohemiańskim Montparnassie.*

*...Jerzy od niedawna nie ma Reni. Nie ma jej w mieszkaniu na ulicy Gamerskiego w Warszawie, gdzie przez 20 lat opalizowały stare szkła na mahoniowych komodach, gdzie piętrzyły się teki ze szkicami kostiumów Lifara i innych koryfeuszy baletu i opery w Paryżu, Warszawie, Nowym Jorku. Nie ma na ścianie portretu Jana Lorentowicza, którego intelektualne i męskie czary sączą się jeszcze z dzienników Zofii Nałkowskiej i listów anty-dulskiej Gabrieli...*

Ale Irena Lorentowicz na stałe zamieszkała w kazimierskim domu, w jasnym pokoju z widokiem na brzozy. Jest jedną z tych bliskich osób, które stanowią o jego całości, wypełniają jego komórki, wtapiają się w jego zaczarowaną duszę.

Przechodzimy do dużego salonu z kasetonowym sufitem. Ciemny strop, ciemne

ściany, duży okrągły stół. Uwagę moją przyciąga egzotyczny wzór na ścianie, wyłaniający się z ciemnej czerwieni, stopniowo przechodzący w miękkość i jedwabistość.

- *Ta płócienna, ręcznie haftowana makata pochodzi z Turkiestanu, z Czun. Nazywaliśmy ją „płachtą turkiestańską”. Przywieziona do Polski przez rodzinę Stanisława Marii Salińskiego, była darem pożegnalnym chińskich kupców dla jego ojca. W książce „Ptaki wracają do snów” Saliński pisze o przekazaniu jej w naszym domu na Placu Trzech Krzyży w Warszawie.*

Z kultury dalekiego wschodu przenoszę się na tereny bliższe, głęboko osadzone w historii. Piec huculski, unikalne dzieło ludowej sztuki, wyłaniający się z całej gamy miękkiej zieleni, przechodzący przez wszystkie jej odmiany i odcienie, zrobiony został z trzech starych pieców. Wprawdzie już się w nim dzisiaj nie pali, żeby kafle nie popękały, ale wygląda imponująco. Dla Marii Kuncewiczowej ma on jakąś zakłęta tajemnicę, więc wprowadza mnie w jego baśniowy świat objaśniając symbole zamknięte w huculskich rysunkach. Piec przypomina

*...wszystko, co kiedykolwiek się śniło czy iściło w repertuarze naiwnej wyobraźni: okruchy Biblii, szwajcarskie sielanki Słowackiego, dumki-szumki pośród słoneczników, wańki-wstańki, żar-ptaki i czerwone jaja. A wszystko na płachcie Aladyna, ukazane przez szparę, dziejące się ponad czasem...*

Oprócz nierealnego klimatu baśni jest w nim symbolicznie zamknięta historia. Wyrastające z krzyża dwa pędy drzewa, kończące się głowami orłów obrazowo przedstawiają schizmę wschodnią.

Pod ścianą inny szczegół ludowej sztuki. Kołowrotek i krzeselko szewskie. Obok wysoka, ciemna rzeźba z drzewa oliwkowego.

Przepiękne, lśniące lustro należące do Heleny Modrzejewskiej. Ozdobny dzbanuszek z warsztatu Pabla Picassa, gdzieś tam znów fragment obrazu Diego Rivery.

*...mówiono mi zawsze, że przedmioty są martwe i złośliwe. Nieprawda. Serwantki, sekretarzyki, fotele i krzesła zachowały ciepło rąk stolarzy domowych, w dotyku są gładkie i przychylne fantazjom nowych właścicieli, obrazy zaś opowiadają życie*

*utrwalone przez kazimierskich malarzy...*

Moją uwagę przykuwa wiszący na ścianie ogromny olejny obraz w złotej ramie, nie pasujący do otoczenia. Idąc za moim pytającym wzrokiem gospodyni wyjaśnia - W tym miejscu wisiał portret mojego męża, malowany przez Władysława Filipiaka. Zabrano mi go chwilowo na wystawę, a w zamian dostałam ten. O, a tam, za piecem wiszą jeszcze dwa portrety, mój i męża, malowane przez Antoniego Michalaka...

*...Jerzy, jakże pięknie Nasierowska zdołała aparatem fotograficznym uchwycić ciebie na gorącym uczynku istnienia. (...) Stojąc tam przed tobą mówię co rano: Jestem. I ty jesteś. Dziękuję za nasze długie piękne życie i modlę się, żeby ono trwało. (...) Poprzez czas i przestrzeń dajesz znak, że nie zerwała się więź między żyjącą a umarłym...*



Maria Kuncewiczowa w sypialni, fot. H. Dębski, Muzeum Nadwiślańskie - Kuncewiczówka w Kazimierzu Dolnym.

W pewnym momencie zdałam sobie sprawę z tego, że chociaż Jerzy Kuncewicz już nie żyje, to jednak jest wszędzie obecny. Jest w całym domu, w każdym sprzęcie, w fotografii na półce z książkami. Nic się nie zmieniło. Dalej pomaga żonie w pracy, jako współtwórca każdej minuty układanej codziennie pracowicie i z sercem.

*Jest we mnie bardzo wyraziste poczucie obecności drugiego człowieka - powiedziała kiedyś pisarka w wywiadzie - oraz poczucie odpowiedzialności za kogoś. Teraz, po sześćdziesięciu latach małżeństwa, tzn. życia w tym samym domu, albo w tym samym pokoju, zdaję sobie sprawę, że przez sześćdziesiąt lat słyszałam bicie serca drugiego człowieka, oddychałam tym samym powietrzem (...)*



*Materialną okolicznością, która utwierdziła naszą wspólnotę było to, że drugi człowiek, z którym się sprzęgło moje życie, wybudował mi dom (...) Pochodzę z rodziny od dawna bezdomnej, tzn. rodziny, która miała zawsze przyzwoite mieszkania, ale to nie były domy, to zawsze było coś wynajętego. A tutaj nagle okazało się, że jestem w domu, który otaczają drzewa, które też do mnie należą. Ten kawałek nieba też do mnie należy, bo moje okna patrzą na to niebo...*

Spojrzałam na duży wazon z suchym bukietem. Zastygłe kolory, zatrzymane w bezruchu, pękate lub drobne kształty, tworzą malarską kompozycję z obrazu.

*Moje suche bukiety, nieśmiertelniki, osty, głogi mają inny cel: pomagają mi widzieć życie trwalsze niż to moje, wilgotne, gnijące.*

Takie nieprzemijające piękno, jak to, zamknięte w suchych bukietach, jest w całym domu. Domu wymarzonemu i własnemu. Miejscu, do którego tęskni się całe życie i do którego zawsze się wróci. Domu, od którego klucza nigdy się nie zgubi.

Dom w Wąwozie Małachowskiego, będący młodopolskim skrzyżowaniem dworu i chaty góralskiej, łączy w sobie wiele sprzeczności. Otwarty na świat i ludzi. Często odwiedzany, przyjmujący głosy z całego świata. Wciąż piszą studenci z Ameryki, znajomi, przyjaciele z różnych stron ziemskiego globu. Piszą też zwykli ludzie, zupełnie obcy, którzy po prostu chcą się „wyspowiadać”, zrzucić z siebie żale i troski. Dom ten wszystkich zmieścił. Dla każdego serdeczny, każdy coś otrzymał: cenną chwilę czy uśmiech. Maria Kuncewiczowa odpisuje na wszystkie listy *bo przecież grubiaństwem byłoby nie odpowiedzieć*. A jednocześnie dom ten jest bardzo prywatny, wręcz intymny, szczelnie, hermetycznie zamknięty. Wchodząc do niego, wydawało mi się, że przekraczam barierę cudzego życia, jego codzienności i niecodzienności. Że dostaję się do cudzych marzeń i tajemnic, które wprawdzie są wciąż „sprzedawane”, ale nadal należą do autora. Jest to przecież dom, nie „namiot”. Mieszka tu Róża z *Cudzoziemki*, Piotr Krzysztofowicz z *Leśnika*, brat, mąż i wszyscy bliscy.

„Kuncewiczówka” jest światem w miniaturze. Zgromadzone pamiątki mają ogromny zasięg geograficzny i przekrój historyczny. A mimo to, przede wszystkim czuje się tu

Polskę. Po wielu latach emigracji Kuncewiczowie zdecydowali się przyjechać do Kazimierza, bo nie wyobrażali sobie, żeby umrzeć na obcej ziemi.

Maria Kuncewiczowa zaprasza mnie do stołu. Białe wino i sernik domowej roboty. Chwila rozmowy nie związanej z domem. Zapytana o moje plany, chęci i marzenia, łapię się na tym, że odczuwam potrzebę opowiadania o rzeczach ważnych i błahych.



Kuncewiczówka, wnętrze domu, fot. Kamil Ruciński.

Chwila ciszy. Promień zachodzącego słońca wpadł do pokoju i zatrzymał się na paku herbacianej róży. W powietrzu unosi się zapach kwiatów, wina, słońca i starego drewna. Nieubłagany zegar wybił następną minutę. Wydawało mi się przez moment, że to *dwa księżycy srebrną sanną splotęły po niebie, uderzyły z brzękiem o szybę, do pokoju wpadły zimne i błyszczące*. Coś magicznego jest w tym domu. Jestem nie tylko tu, ale i wszędzie, nie tylko teraz, ale i kiedyś. A autorka tego czarodziejskiego

świata wydaje mi się kimś bliskim, kimś z rodziny, o kim się mówi dobrze, że jest. Dzielę się swoim spostrzeżeniem i podaję książkę do podpisu. Słysząc skrzypienie pióra.

*Na pamiątkę jeszcze jednej rozmowy, tym razem kazimierskiej. Maria Kuncewiczowa. Dom pod Wiewiórką 1987.*